

R A D E K

RAK

AGLA



— *Alef* —

ilustracje Igor Myszkiewicz



powergraph

Warszawa 2022

Copyright © 2022 by Radek Rak
Copyright © 2022 by Powergraph
Copyright © 2022 for cover by Igor Myszkiewicz i Jan Kosik
Copyright © 2022 for endpapers by Igor Myszkiewicz i Jan Kosik
Copyright © 2022 for illustrations by Igor Myszkiewicz
Wszelkie prawa zastrzeżone.
All rights reserved.

Redaktor prowadząca serii: Kasia Sienkiewicz-Kosik
Redakcja: Marta Kładź-Kocot
Korekta: Maria Aleksandrow
Skład i łamanie: Powergraph
Okładka: Igor Myszkiewicz i Jan Kosik
Wyklejka: Igor Myszkiewicz i Jan Kosik
Ilustracje: Igor Myszkiewicz
Projekt graficzny i opracowanie: Rafał Kosik

Wyłączny dystrybutor:
Dressler Dublin sp. z o.o.
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki
tel. (+ 48 22) 733 50 31/32
e-mail: dystrybucja@dressler.com.pl
www.dressler.com.pl



Wydawca:
Powergraph Sp. z o.o.
ul. Ceglowska 16/2, 01-803 Warszawa
tel.: 22 834 18 25
powergraph.pl
e-mail: powergraph@powergraph.pl

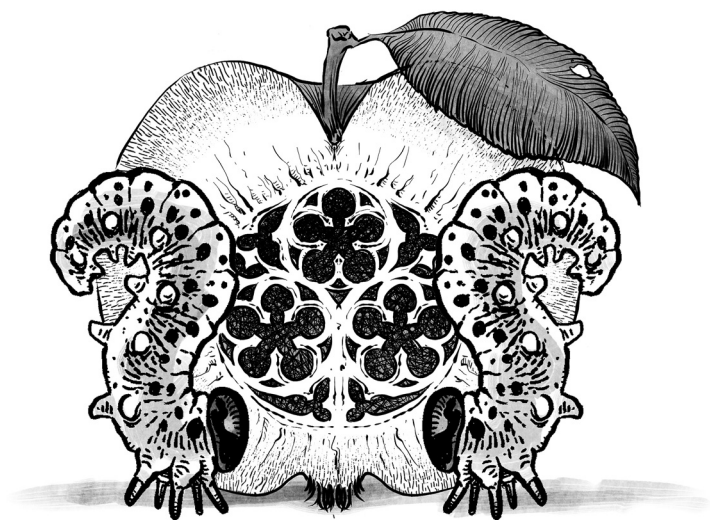
ISBN 978-83-66178-70-0

Druk: Białostockie Zakłady Graficzne SA
Printed in Poland, EU

„Podobnie my – z ciężkiej larwy w ziemi
przeobrażamy się w lekkiego,
trzepoczącego skrzydłami motyla”.

Henry David Thoreau
przekład Haliny Cieplińskiej

CZĘŚĆ PIERWSZA



Rozdział I

*W którym poznajemy Sofję K Suk
i tu zaczyna się opowiadanie*

Na Brackiej padał deszcz i ku rozczarowaniu Sofji Kluk nie zanosilo się na to, że tego dnia ktokolwiek zginie. Niebo nad miastem stało niskie, czarne, ledwie widoczne w wąskim prześwicie nad głową dziewczyny, bo Bracka była ulicą raczej wąską i w połowie długości wyginała się pałakowato. Takie położenie pozwalało jednak na bezpieczne obserwowanie konwentu minorytów na jej południowym krańcu, bo w razie czego zawsze można było uciec za zakręt.

Deszcz padał czarny, zmieszany z sadzą, i zostawiał plamy na ubraniu. Tego dnia nie było słońca. W mieście Cara słońce rzadko ukazywało swoje oblicze.

— Matka mnie zabije — mruknął Harun, raz po raz przecierając rękawy i poły płaszcz. Brud, zamiast zniknąć, rozmazywał się tylko i głębiej wżerał w tkaninę.

— Bo jesteś głupi. Czemuś się ubrał na jasno? — Sofja mocniej nasunęła na czoło kaptur czarnej uniwersyteckiej peleryny.

— Dzisiaj środa. — Chłopak z wyśzością roztarł kolejną plamę na chałacie. Środa tłumaczyła wiele.

— Cicho bądźcie — fuknęła szeptem Chiara von Loewenstein, strzelając nerwowo oczami na prawo i lewo. Po Brackiej przetoczyła się dorożka, turkocąc i rozbryzgując kałuże. Chiara cofnęła się w głąb bramy, choć odpryski błota i tak nie zdołałyby osiągnąć jej wypolerowanych lakierków.

— Przecież nikt od minorytów nas nie usłyszy — zauważyła Sofja.

— To diabły. Oni słyszą wszystko — odparł Harun, trochę dlatego, żeby dla zasady nie zgodzić się z Sofją, a trochę żeby ponaśmiewać z Chiary, która wcisnęła się jeszcze głębiej w cień.

— Trzeba było zostać w domu. — Sofja, nie zwracając uwagi na pozostałą dwójkę, pomachała człapiącemu po drugiej stronie ulicy goblinowi. Ani on, ani żaden z nie-licznych przechodniów nie zwrócił na nią uwagi. Zbliżało się południe i na ulicach nie było prawie nikogo.

— Co ty robisz?! — Chiara złapała Sofję za rękę i szarpnęła mocno.

— Pokazuję wam, że wszyscy mają nas w dupie. Nie pasuje ci, to wracaj do mamy. Nie prosiłam, żebyś z nami szła.

— Właśnie, że...

— Jedzie! — sapnął Harun.

Rzeczywiście, od strony Rynku Głównego nadjeżdżał czarny mercedes nauthiz. Nie czynił więcej hałasu niż duży kot albo dobrze wyszkolony smrt, i nawet nie bardzo rozchlapwał błoto. Reflektory omiały kamienice miodowym blaskiem, na masce jarzyła się ochronna runa, a szyby samochodu były przyciemnione, co wydawało się zbytkiem ostrożności w wiecznym półmroku miasta Tybil. Przechodnie odwracali wzrok od nauthiza, udając, że go nie widzą, nawet Sofja spuściła oczy. Wiadomo, kto jeździł takim samochodem.

— Ja myślę, że to wszystko ich sprawka — powiedział Harun, gdy automobil dotarł do końca ulicy i tuż przed bramą konwentu skręcił w prawo, w kierunku Plant.

— Szybko! — Sofja pobiegła za samochodem. Harun, po chwili wahania krótkiej jak uderzenie serca, za nią.

— Ej! Eeej! To nie jest śmieszne! Nie jest śmieszne, ty kretynko!!! — Chiara była bliska płaczu. Ale biegła także.

Minęli księgarnię, kawiarnię i sklep kolonialny. Kiedy w kilkunastu szybkich krokach dopadli północnych wrót konwentu, po automobilu nie pozostał najmniejszy ślad. Sofja spojrzała w prawo, ku Plantom, gdzie powykręcane topole i zjiesienniałe klony mokły w deszczu. Spojrzała, trochę bezmyślnie, w lewo, w stronę placu Heretyków. A następnie podniosła oczy w górę.

Bazylika konwentu minorytów wyrastała przed nią milcząca i ponura, cała z czerwonych i czarnych cegieł, najeżona wieżyczkami o dachach zielonych od śniedzi. Rzygacze w kształcie smoków wypływały na ulicę strużki wody, a gargulce przyczajone w załomach muru zdawały się bacznie obserwować całą okolicę: i ulicę Bracką na północy, i plac Heretyków na wschodzie, i kompleks minoryckiego klasztoru przytulony do południowej ściany bazyliki, a od zachodu Planty i majaczący za nimi w półmroku potężny Hrad. Padało coraz mocniej i mocniej. Sofji zrobiło się zimno; może od deszczu, a może wcale nie. Skryła się pod daszkiem północnego wejścia, Harun dopadł do niej po chwili, a na końcu doszła Chiara, niezgrabnie przeskakując co większe kałuże i siąkając nosem.

— Do reszty ci odbiło?! Nie chcę być następną.

— Nie będziemy następni. Dlatego to robimy.

— Ale...

— Srале. Nie pasuje ci, wracaj na uczelnię. I przestań płakać.

— Nie płaczę. — Chiara otarła nos rękawem. — Katar mam.

— Aha.

— Sama pociągasz nosem.

— Bo jest deszcz i zimno, a ja mam chore zatoki. — Sofja smarknęła na ziemię ciemną wydzieliną najpierw z jednej dziurki, potem z drugiej. Harun spróbował również, ale nie wyszło mu, bo jakoś nie miał kataru.

— Jesteście obrzydliwi — stwierdziła Chiara. — Idę do domu. I tak Ich zgubiliśmy.

— No — przytaknął Harun. — Pewnie są już na Hradzie. Mówiłem, że to Oni.

— Nie. — Sofja pokręciła głową. — Nie pojechali przez Planty. Wrony nie krakały. Kraczą zawsze, jak coś przejeżdża. Nawet dorożka albo smrt.

— Jak to nie pojechali, skręcali w prawo przecież. Widziałem dobrze i ty też widziałaś.

— Jest jeszcze brama do konwentu za bazyliką. — Sofja machnęła ręką. — Stąd nie widać, ale można zobaczyć zza winkla.

— Chcesz leżć minorytom w oczy? Nie wystarczą ci... tamci?

— Oj, Chiara, gobliny chodzą do minorytów, a nic im nie jest. Ja idę. Nie będę tutaj marzył. — Harun podciągnął spodnie.

— No tak, ale ty jesteś... Znaczy... — Chiara zaczerwieniła się mocno, bo są rzeczy, o których wszyscy wiedzą, ale o których z jakichś powodów nie należy mówić. — Mówiłeś przed chwilą, że to diabły — zakończyła nie do końca zręcznie, mówiąc zupełnie co innego, niż miała na myśli. Lecz Harun w odpowiedzi tylko wyszczerzył białe zęby i dał pulchnej dziewczynie kuksańca.

— Jestem prawie jak goblin, nie? Bo jeśli jeszcze nim nie jestem, to duża szansa, że będę w przyszłości, a to właściwie tak, jakbym już był.

Bazylika miała kilka wejść, przeważnie zaryglowanych, ale główna brama od strony Plant otwarta była

dniem i nocą. Sofja, Harun i Chiara postanowili wśliznąć się tą drogą do środka, w ślad za grupą kilkunastu goblinów w pokutnych włosiennicach. Sofja na chwilę zamarudziła na progu i zlustrowała wzrokiem otoczenie. Wszystko jak zwykle. Dziedziniec porosły rzadką trawą. Po lewej wysoki mur z białego kamienia, a w nim brama konwentu, ciężka, masywna i poczerniała ze starości. Smutne drzewa na Plantach kołysały gałęziami na wietrze. Nad nimi wznosił się Hrad: spowity czarnym dymem cień, wyrastający nad miastem na podobieństwo góry, w półmroku jesiennego dnia bardziej wyczuwalny niż zauważalny. Powiadano, że niedobrze jest patrzeć zbyt długo w jego stronę. Sofja uważała to za bajdy, ale na wszelki wypadek również odwracała wzrok. Gdy jej spojrzenie zabłąkało się w tę stronę, czym prędzej schowała się do wnętrza kolegiaty; miała wrażenie, że Hrad przygląda jej się uważnie, a ostatnie, czego teraz chciała, to sięgnąć na siebie jego uwagę.

— Na serio chcecie tam iść? — Chiara nie wyglądała na przekonaną, ale ciekawie zerkała do środka. Nie była nigdy u minorytów; jej rodzice, profesorowie katedry gematrii, mówili jej zawsze, że minoryci kultywują stare zabobony i nie są prawdziwymi magami, że ich sztuczki dobre są dla goblinów i biedoty, a poważni ludzie powinni trzymać się od nich z daleka.

— Byłem tam raz. Jest przejście z jednej z kaplic na krużganki, a z nich można spokojnie przyjrzeć się całemu klasztorowi. Zobaczymy, czy Sofja ma rację i czy czarny nauthiz rzeczywiście wjechał do środka, a nie na Hrad. Przy odrobinie szczęścia nikt nas nie spostrzeże. Idziemy?

Wnętrze bazyliki rozjaśniały nieco czarodziejskie ognie: zielone, błękitne i złote. Przypominały nasiona

dmuchawca, unoszące się sennym ruchem w powietrzu. Zdawały się rodzić znikąd, jarzyły się przez minutę albo nawet krócej i pękały jak bańki mydlane od najlżejszego dotyku albo nawet od mocniejszego przeciągu. Blask ogników wydobywał z mroku kwietne freski. Malowane maki i bławatki zdawały się poruszać w rozchwierutanym świetle, jakby powiew wiatru szedł przez pole. Barwny witraż nad wejściem przedstawiał groźną postać spowitą w burzowe chmury. Nikt już nie pamiętał, kogo miał przedstawiać; najprawdopodobniej Cara.

W ławkach gobliny i biedacy kiwali się, mamrocząc zaklęcia. Niektórzy drzemali, ukołysani własnym monotonnym szepem, paru leżało krzyżem na ziemi. Pokutnicy napotkani przez dzieci przy wejściu pełzli na czworakach w głąb chramu, co rusz zamiatając podłogę tłustymi brodami i czapami ze sztucznej wełny. Z przodu, w prezbiterium, uwijało się kilku minorytów w powłóczystych szatach z kapturem. Sofja, Harun i Chiara nie chcieli rzucać im się w oczy, ukryli się więc w jednej z kaplic na prawo od wejścia.

— To ta kaplica — powiedział Harun i bacznie przyjrzał się ołtarzowi, zwieńczonemu kilkoma gotyckimi iglicami. Ołtarz musiał być wyłączony z użytku, pokrywały go bowiem girlandy zakurzonych pajęczyn. W załomach posągi smutnych aniołów wznosiły w górę puste oczy i szeroko otwarte usta, jakby spodziewając się ujrzeć coś niezwykłego; wyraz ich twarzy sugerował jednak, że im dłużej wpatrują się w górę, tym bardziej niczego tam nie widzą, i był to wyraz rozpaczny.

Harun odszukał niewielkie drzwiczki w bocznej części ołtarza i szarpnął za klamkę. Nie drgnęły.

— Zamknięte. Wracajmy. — Chiara odetchnęła głęboko.

— Czekaj, czekaj. — Chłopak wyciągnął zza pazuchy cieniutki pilnik, zwany jomskim włosiem, i pogmerał nim w zamku. Raz, dwa i zapadka szczęknęła, a drzwi uchyliły się same.

— Fajne. — Sofja zerknęła mu przez ramię. — Masz takich więcej?

— Może mam, może nie. — Harun schował piłkę pod połę płaszcza. — Wiesz, to nie tylko kawałek metalu. W każdym takim włosie jest zaklęta dusza goja, czasem nawet więcej niż jedna, bo goje mają słabe dusze, które szybko się zużywają.

— Farmazoni.

Przejsie wiodło prosto na krużganki. Wychodziły one na wirydarz konwentu, z każdej strony otoczony klasztornymi budynkami. Od kamiennych murów wionęło chłodem i wilgocią, a kolumny oplatał bluszcz i zaniedbana winorośl. Nawet minoryci musieli rzadko zaglądać w tę część krużganków, bo wiatr nawiał pełno zeschniętych liści. Można było stąd obserwować, co dzieje się na dziedzińcu, przy odrobinie ostrożności samemu nie będąc widzianym.

W tej chwili na dziedzińcu nie działo się nic. Poza tym, że w cieniu kostropatych jabłonek i mirabelek stał czarny nauthiz o rejestracji 727. Bezpieka.

— Mówiłam, że tu wjechali.

— Wracajmy. — Chiara kręciła się niespokojnie i co rusz zerknęła na boki.

— Ale co, myślisz, że to minoryci porywają dzieci?!
— Harun nie odrywał wzroku od samochodu. Pokręcił głową. — Nie mogę uwierzyć, że mają coś wspólnego z... z nimi. Wydawali się w porządku.

— Nie należy ufać nikomu, kto wydaje się w porządku
— rzuciła Sofja.

- Hy! Nawet mnie? — uśmiechnął się Harun.
- Jomowie to złodzieje. — Sofja umościła się wygodniej na kamiennym parapecie.
- Więc może to my porywamy ludzi?
- Może, ale mała szansa. To taki przesąd dla goblinów, tak mówi mój ojciec. A gdybyście nawet porywali, ty nic byś o tym nie wiedział. Ale że Jomowie kradną, to przecież wie każdy, i ty też pewnie kradniesz, bo podejrzanie dobrze poradziłeś sobie z zamkiem w drzwiczkach ołtarza.
- E, drzwi w mojej kamienicy często się same zatrzaśkują. To dlatego.
- Jomowie nie tylko kradną, ale też kłamią. Gdy Joma mówi dwa słowa, są w nich trzy kłamstwa.
- Są też przystojni i kobiety ich lubią — zachichotał Harun, a Sofja pchnęła go w wyschlę pnącza.
- Większy z ciebie bałwan, niż wyglądasz. I niezbyt mądry, ale to też dobrze. Chodziło mi o to, że gdybyś był zbyt porządny, nie można by ci zaufać. Ale jesteś złodziejem, kłamcą i głupkiem, więc może być.
- Nie można tak mówić — wtrąciła się Chiara. — To krzywdzące dla Jomów.
- Widzisz? Wcale nie jesteście złodziejami, kłamcami i głupkami — zachichotał Harun.
- Przystojni też nie jesteście.
- Bóg jest jeden!
- Nie bluźnij w domu magii, Harun — wzdrygnęła się Chiara.
- Jestem Jomą, Jomom wolno.

Czekali dłuższą chwilę. Deszcz bębnił o blaszane zadanie krużganka. Było chłodno, ale nie zimno, i nawet przyjemnie w spokojny, senny sposób. Szum wody wchodził do głowy i Sofja poczuła się bezpiecznie, jakby na

dziedzińcu wcale nie stał czarny nauthiz z Hradu; prawie miała ochotę umościć się wśród suchych liści pod dachem i zasnąć.

— Myślicie, że minoryci i... i oni razem porwali tych wszystkich ludzi? — Teraz, gdy ustąpił lęk związany z wtargnięciem do chramu, który niby nie był zakazany, ale jednak jakby trochę był, Chiara ciekawie spoglądała na dziedziniec.

— Głupia jesteś, schowaj się, zobaczą nas — burknęła Sofja, zła, że Chiara wrywa ją z zadumy.

— Wiesz, może tak być. — Harun przysunął się bliżej pucułowatej koleżanki. — Pakują ich do czarnego nauthiza i, zamiast do Hradu, przywożą tutaj. Zamykają w lochu albo co. Może szukają odtrutki na zgoblinienie.

— Odtrutki?

— No bo giną głównie młodzi. A goblinem zostaje się dopiero z wiekiem. Nie ma dzieci goblinów.

— Po co mieliby szukać takiej odtrutki? — zapytała Sofja trochę zbyt ostro, poirytowana, że rozmowa przyjaciół nie pozwala jej wsłuchać się w szum deszczu i zupełnie odpłynąć myślami. Harun i Chiara popatrzyli na nią z oburzeniem.

— Wiesz, to nie było miłe — rzekł chłopak po chwili. — Wam nie grozi zgoblinienie. Jesteście bogate...

— Nie o to chodzi. — Sofja uświadomiła sobie, jak zabrzmiały jej słowa, i zaczęła się wstydzić za myśli, których nie miała, i za słowa, których wypowiadać nie miała zamiaru. Często zdarzało jej się być zrozumianą opacznie, nawet przez własnego ojca. Nienawidziła tego uczucia.

— Nie jesteśmy wcale bogate — zaprzeczyła odruchowo Chiara.

— Ale jesteście córkami profesorów.

— Stulcie się wreszcie! — Głos Sofji poniósł się echem po krużganku, aż sama się złąła. — Mówiłam o tym, że skoro to Oni porywają ludzi, to na pewno nie po to, żeby znaleźć lekarstwo na goblinienie. Mogę uwierzyć, że byliby do tego zdolni minoryci. Ale Oni? Przecież służą Carowi, a gobliny to ukochane dzieci Cara.

— A może dlatego przywożą je właśnie tutaj, a nie na Hrad? — zamyślił się Harun. — Może robią to za plecami Cara, tak, żeby się nie dowiedział?

— Przecież Car wszystko wie — zadrżała Chiara. — Sofja? Czekaj, Sofja, dokąd ty idziesz?

Ale Sofja już zeskoczyła z krużganka i ruszyła pomiędzy niskimi drzewkami owocowymi, nie rzucając się za bardzo w oczy, ale też niespecjalnie się ukrywając. Śliwek dawno już nie było o tej porze roku, ale wśród gałęzi trzymały się jeszcze pojedyncze jabłka, poznaczone ciemnymi gruzłami, i dziewczyna z szelestem liści zrywała jedno po drugim, aż uginały się gałęzie. Harun skoczył za nią.

— Co wy robicie?! Sofja! Harun! — Chiara bała się podnieść głos, bo na pewno usłyszałyby ją ktoś z konwentu. Chwilę podreptała po krużganku, ale na koniec skoczyła również.

— Stąd widać lepiej — stwierdziła Sofja, wgrzyzając się w jabłko. Przyjrzała mu się krytycznie. — Wcale nie jest gorzkie. Nie smakuje jak zatrute.

— Nie jedz, bo zmienisz się w goblina. — Harun z chrzęstem wgrzył się w swoje jabłko. — Niezły pomysł. Jak nas złapią, pomyślała po prostu, że przyszliśmy na opędy.

Ale w tym momencie otworzyły się drzwi od refektarza i wszelkie wykręty, które Sofja czy Harun mogli ulepić sobie w głowach, by wytłumaczyć swą obecność w ogrodzie, rozsypały się w proch.

W drzwiach, w towarzystwie przygarbionego minoryty, stali Oni.

Sofja i Harun skoczyli w te pędy w stronę muru i po gałęziach bluszczu jęli wdrapywać się na górę. Wszystko, byle tylko nie spojrzeć ponownie w Ich stronę. Sofja czuła łomot serca aż w gardle.

— Sofja! Harun! Haruuun!

To Chiara wołała. Chiara, jak zwykle ostatnia, jak zwykle niezgrabna. Pierwszą myślą Sofji, myślą zrodzoną na dnie mózgu, tam, gdzie człowiek dalej jest zwierzęciem, było zostawić Chiarę za plecami. Druga myśl była identyczna, ale dziewczyna nie miała wystarczająco dużo czasu, by się zawstydzić.

Więc odwróciła się, później, niż powinna, bo prawie już wspięła się na szczyt muru, ale nie za późno. Harun zreflektował się w tym samym momencie. Wzrok Sofji zatrzymał się na chłopaku, który zaczerwienił się i wyraźnie unikał wymiany spojrzeń. On też, zrozumiała Sofja.

Wyciągnęli ręce ku podrygującej na dole Chiarze i błyskawicznie wciągnęli ją na górę. Na drugą stronę zeskoczyli już we troje. Sofji coś chrupnęło w kostce, ale ból nie przeszkadzał uciekać, uciekać, byle dalej, skrajem Plant aż po Uniwersytet. W murach uczelni byli bezpieczni, to był ich dom. Jeśli nie można się schronić na Uniwersytecie, to nie można się schronić nigdzie.

Lecz i tak, ledwo wpadli we trójkę na dziedziniec Collegium Maius, nie przez główne wejście, lecz skrótem przez Ogród Profesorski, zatrzasnęli za sobą drzwi i zaryglowali wszystkie spusty.



Rozdział II

*W którym zawarte są pewne przemyślenia
dotyczące życia akademickiego*

Przeskakując po trzy schody naraz, Sofja, Harun i Chiara wbiegli na drugie piętro, gdzie znajdowały się pokoje pracowników naukowych, i zatrzasnęli się w gabinecie doktora Kluka, ojca Sofji. Z trudem łapali oddech i dłuższy czas nic nie mówili. Rozłomotane ze strachu serca uspokajały się z wolna.

— Na miłe Moce. Ale my jesteśmy popierdoleni. — Sofja roześmiała się głośno, gdy przeszła jej zadyszka.

— My?! TY jesteś popierdolona! — Nie wytrzymała Chiara. — To był TWÓJ pomysł!

Wydawało się, że drobna i pulchna dziewczyna skoczy z pazurami na znacznie wyższą przyjaciółkę. Chiara przypominała teraz rozwścieczoną kotkę, tak niepodobna do zwykłej siebie, że Harun najpierw zachichotał w kułak, potem trochę głośniej, aż wreszcie rzucił się na wyświechtaną kanapę, pokładając ze śmiechu, póki nie dostał czkawki.

— Cicho bądź! Cicho bądź, bo przyjdą Oni i zaaresztują nam Chiarę! — Sofja dopadła Haruna i zaczęła go łaskotać, a on wił się i skręcał, nie mogąc powstrzymać śmiechu.

— Teraz się śmiejecie. A uciekaliście pierwsi. Chcieliście mnie tam zostawić.

Sofja i Harun przestali się wygłupiać.

— Nie chcieliśmy — skłamała Sofja.

— Nie tłumacz się już. To był głupi pomysł. Wracam do siebie, na zajęcia. I mam tylko nadzieję, że безпеaka nie zapuka do naszych drzwi. A przynajmniej że najpierw zapuka do waszych — rzekła Chiara mściwie i wyszła, trzaskając drzwiami.

Sofja i Harun zostali sami. Przestało im być wesoło. Śmiech mógł rozładować napięcie, ale teraz obojgu przyszło do głowy, że Chiara może mieć rację. Siedzieli więc w gabinecie – Sofja za ojcowskim biurkiem, Harun nadal na kanapie, i nie odzywali się do siebie. Prócz biurka, kanapy i dwóch foteli w gabinecie znajdowały się tylko kominek, który zimą ciągle pluł sadzą, stara szafa na ubrania, wytarty orientalny dywan i oszklone biblioteczki zawalone książkami. Książki poupychane były poziomo, by zmieściło się ich jak najwięcej, ale i tak piętrzyły się jeszcze na parapecie, na blacie biurka i w kilku stosach na podłodze. Oprócz zwyczajnych dla uniwersytetu traktatów magicznych i książ poświęconych różnym dziedzinom taumaturgii znajdowało się w gabinecie doktora Kluka mnóstwo dzieł z zakresu nauk przyrodniczych, głównie lepidopterognozy i innych rodzajów gnozy zoologicznej, oraz trochę powieści, w tym sporo złych. Z gabinetu można było przejść do sypialni ojca Sofji; przez uchylone drzwi widać było łóżko za grubymi kotarami i jeszcze więcej książek. Z sypialni doktora Kluka z kolei wchodziło się do niewielkiego pokoiku Sofji, gdzie książek było już mniej, choć też niemało. W całym mieszkanku unosiła się woń kurzu, stęchlizny i wschodnich kadzidełek, bo Sofja lubiła kadzidełka.

— Chcesz buzę? — zapytała, wyciągając z przepastnej szuflady biurka ciemną butelkę.

— Dziś środa — odparł z wyższością Harun.

— Nie, to nie. — Sofja odkorkowała butelkę, zlizwała pianę, która poląła jej się po palcach. Napój był trochę słodki, trochę cytrynowy, i pachniał lekko anyżem, tak jak lubiła.

— Dobra, daj.

Rzuciła Harunowi butelkę, zajrzała w głąb szuflady. Znalazła tam niewielki kawałek chałwy zawinięty w otłuszczony papier. Podobno chałwa pasowała do buzy, z tej niepojętej przyczyny, dla której czerwone wino pasuje do wołowiny, a kawa do książki. Sofja nigdy nie mogła pojąć, czemu niektóre rzeczy miałyby iść ze sobą w parze; może dlatego, że uwielbiała książki, a kawy nie znosiła.

— Chałwy nie mam — skłamała. No bo co, kawałek nie był za duży, a Jomowie i tak powinni pościć w środę. Harun nie zauważył kłamstwa, a nawet jeśli, to zdawał się nie zwracać na nie uwagi. Jomowie sami bowiem kłamią nieustannie, a jeśli mówią prawdę, to albo przypadkiem, albo niecałą – przypomniała sobie Sofja i odetchnęła.

Z butelkami w rękach stanęli oboje w oknie.

Światło popołudnia miało barwę popiołu i zapowiadało wczesny zmierzch. Ruch na ulicach zwiększył się, ludzie wracali do domów i prawie nie było widać goblinów. Pod oknami uczelni przejechał czarny samochód i Sofja wzdrygnęła się, choć nie był to mercedes nauthiz, tylko zwykły mały karakal.

— Nie wyglądali wcale jak demony — zauważył ostrożnie Harun.

— Hm?

— No wiesz... Oni. Bezpieka.

Obraz dwóch mężczyzn sam pojawił się przed oczyma Sofji. Jeden niski, chudy, o spiętej, gadziej twarzy. Drugi wyższy, tęższy, z groźną kwadratową szczęką i o niezdrowej cerze – ale kto z mieszkańców Tybil, wiecznie

pograżonego w półmroku i spowitego trującą mgłą, mógł poszczycić się zdrową skórą? Obaj ubrani byli schludnie, lecz skromnie. Czarne marynarki, czarne meloniki. Trochę przywodzili na myśl urzędników.

Ubecy wyglądali tak zwyczajnie, że aż dreszcz szedł po grzbiecie.

— Demony zwykle nie wyglądają jak demony. — Sofja powtórzyła słowa profesora Kira Bojana z katedry Filozofii Przyrody.

— Bóg jest jeden! Myślisz, że będzie tak, jak mówiła Chiara?

— Co mówiła Chiara?

— Że zapukają do naszych drzwi.

— Harun, skąd mogliby...

Wtem rozległo się pukanie do drzwi.

Sofja i Harun zamarli jak zajęce, nad którymi przesunął się cień jastrzębia. Pukanie powtórzyło się natarczywiej.

— Schowaj się w pokoju ojca — wychrypiała dziewczyna półgłosem. — Ja ich zatrzymam. W razie czego uciekaj oknem. I ostrzeż Chiare.

Harun nie zdołał wydusić z siebie ani słowa. Posłusznie uczynił, jak mu poleciła przyjaciółka.

Pukanie powtórzyło się po raz trzeci. Sofja na sztywnych nogach podeszła do drzwi i uchyliła je nieco.

Ale to nie była bezpieka. Na progu stał chudy młodzieniec w czarnej studenckiej szacie do kolan. Oczka miał małe i chytre, zdradzające, że to student któregoś wyższego roku; pierwszorocznicy przeważnie sprawiali wrażenie wiecznie przerażonych. W rękach miętolił brudny, zielonkawy indeks. Przypominał co prawda ptaka, ale nie jastrzębia, tylko raczej szpaka czy innego pożeracza czereśni, Sofja nie widziała więc powodu, by trwać w roli strwożonego zajęcia. Odetchnęła z ulgą.

— Ja do doktora Kluka.
— Dzień dobry. — Sofja zmarszczyła brwi.
— Dzień dobry — poprawił się prędko student. —
Doktor są?

— Ojciec wyjechał.
— Bo doktor mówili, że mam przyjść we wrześniu.
— Wyjechał do Liwonii razem z doktorem
Maeterlinckiem z Uniwersytetu Jakuba Böhmege. Nie
wiadomo, kiedy wróci. Może jutro. Może za pół roku. —
Sofja nie próbowała być nadmiernie uprzejmą, drażniła
ją nonszalancja studenta i jego nieco cwaniacka aparycja,
drażniło, że tak ją przestraszył swoim pukaniem, drażni-
ło, że ojciec tak rzadko pisywał listy z podróży, bo ostatni
list otrzymała przed miesiącem i ten list był taki krótki,
zdawkowy, parę ledwie zdań, z których żadne nie wyda-
wało się istotne. Ten powód budził największe rozżalenie,
ale jej irytacja skupiła się na studencie. Istniało bowiem
niepisane prawo, pozwalające pracownikom naukowym
wylewać na żaków frustrację, a jako córka doktora gnozy
przyrodniczej Sofja czuła się niemal doktorantką.

— Ale ja mam egzamin.
— Egzaminy były w czerwcu.
— No tak... Ale wiesz, znaczy wie pani, nie poszło
mi tak jakby. I miałem przyjść we wrześniu. Tak doktor
mówili.

— Tak mówił?
— No.
— A mnie ojciec wspominał jeszcze wiosną, że podróż
może się przeciągnąć i dlatego planuje przepuścić na
egzaminie wszystkich studentów, żeby nie musieć potem
użerać się z nieukami. I każdemu, kto podszedł do egza-
minu, dał przynajmniej tróję na szynach.

Student zmieszał się, ale nie za bardzo.

— Tyle że ja nie mogłem podejść. Ojciec stary, wie pani, matka chora, małego rodzeństwa mam w domu pół tuzina, a tu żniwa i powódź jeszcze w dodatku była, bo ja, wie pani, z gór jestem i u nas rzeki wylały, wszystkie pola zalało oprócz ziemniaków. I pomór przyszedł na bydło, musiałem po weterynarza do miasta jechać, bo u nas nie ma, znaczy jest jeden, ale nie weterynarz, tylko felczer, i nic nie potrafi, bo konował. I...

— To jakieś wczesne te żniwa macie w górach, skoro w czerwcu żniecie. Może pan wracać do domu, ziemniaki czekają, na wykopki akurat pan zdąży. Do wi...

— Ale ja muszę zdać ten egzamin! — jęknął student żałośnie. — Nie wpuszczą mnie na trzeci rok!

— To pana problem.

— Przecież każdemu może coś się przydarzyć. Po to są wrześnieowe terminy... Wyleją mnie ze studiów, jeśli mi pani nie pomoże...

— Zawsze czekają na pana ziemniaki i felczer konował — odparła twardo Sofja. Zrobiło jej się jednak trochę żal studenta, który najwyraźniej przejechał się na kombinatorstwie; wiadomo wszak, że bez kombinowania nikt studiów nie skończył, zwłaszcza że od lat to Akademia była na utrzymaniu żaków, a nie odwrotnie. — Co pan studiuje?

— Historię naturalną.

— To kierunek pod opieką profesora Vlka z Žiliny, z nim trzeba załatwiać.

— Jak? Profesora Vlka nigdy nie ma, zresztą strach go o coś pytać, bo krzyczy, że zajęty, a baby w dzie... znaczy, panie w dziekanacie gotowe kazać mi jechać za doktorem Klukiem do Liwonii po egzamin i wpis do indeksu.

Sofja uśmiechnęła się mimowolnie. Profesor Vlk z Žiliny samą swoją postacią budził strach; sążeń wzro-

stu, pół sążnia w barach, broda zbója, od jego głosu drżały szyby, smok nie człowiek – taki był. A odkąd został dziekanem Wydziału Gnozy Naturalnej, zdawało się, że urósł jeszcze bardziej, tak w nim napuchła duma. O babach z dziekanatu już nie wspominając, no bo jest rzeczą powszechnie znaną, że każdym wydziałem rządzą baby z dziekanatu. W dzieciństwie Sofja często robiła im kawały, za które musiał przeproszać jej ojciec.

— Z czego ten egzamin?

— Z propedeutyki entomognozy — wyjaśniał żak pospiesznie. Jego oblicze rozjaśniło się nadzieją.

— Niech pan wchodzi.

Żakowi nie trzeba było powtarzać. Prędko wpakował się do gabinetu, jakby się obawiał, że Sofja zaraz się rozmyśli. Trochę się zdziwił, gdy dziewczyna wskazała mu krzesło przed biurkiem, a sama zasiadła po drugiej stronie, ale zmilczał i nie odzywał się, niepytany. Sofja tymczasem wyciągnęła z jednej z szuflad oprawiony w płótno wolumin i jęła z szelestem kartkować cienkie stronic.

— Jak się pan nazywa?

— Zorzynek z Rzeżuchowa.

— Zorzynek?

— Z Rzeżuchowa.

— A, tutaj. Drugi rok. Propedeutyka w zakresie podstawowym. Indeks proszę.

— E?

— Głuchyś pan jest? Indeks proszę. Najpierw trzeba tę dwójkę wpisać.

Student Zorzynek, niezadowolony, podał Sofji zieloną książeczkę. Sofja w odpowiedniej tabeli wpisała ocenę niedostateczną. Podpisała się „Kluk”. Wpatrując się z zadowoleniem w swoje dzieło, wydobyła z innej szuflady fajkę z wrzośca, niespiesznie ubiła tytoń w główce

i zapaliła. Zaciągnęła się parę razy, aby żar dobrze złapał. Odchyliła się wreszcie w fotelu i wypuściła kilka zgrabnych kółek z dymu.

— No to niech mi pan opowie, jak pasożyt krów i owiec, zwany dikrocelią, wpływa na zachowanie mrówek.

Zorzynek z Rzeżuchowa zaniemówił.

— Że proszę?

— Dikrocelia. U mrówek. Tutaj jest wszystko opisane. — Popukała palcem w leżący na blacie egzemplarz *Etologii bytów niższych* autorstwa doktora Kluka.

— No więc ten... Mrówki pod wpływem dikrocelii zachowują się nietypowo.

— Nie da się ukryć.

— Ich zachowanie zmienia się w sposób dramatyczny...

— Aha?

— Prowadzi to do fundamentalnych zmian w organizacji pracy w mrowisku...

— Konkrety, panie Zorzyнку.

— To jakieś żarty? — zachnął się student.

— Bynajmniej. No, co z tą dikrocelią?

— Doktor na poprawce co roku pytają o empuzę — odparł żak urażonym tonem.

— A ja zapytałam o dikrocelię i mrówki.

— Mrówki nie mają znaczenia dla ludzi, po co mam się o nich uczyć? A tak w ogóle to nie może mnie pani egzaminować.

— Racja. Powinien pan pójść z tym do profesora Vlka. Albo załatwić przez dziekanat.

Pan Zorzynek milczał. Wpatrywał się w sęki na blacie biurka, jakby z ich układu mógł wywróżyć różne niesłychane rzeczy; na przykład ocenę niedostateczną i wykopki w rodzinnej wsi.

— Mógł pan przeczytać książkę mojego ojca, skoro miał pan u niego egzamin. Nie jest długa i jak na dzieło naukowe chyba nieźle napisana. Można się z niej dowiedzieć, że dikrocelia jest parazytem i istnieje w różnych formach. Życie swe rozpoczyna w ślimaku jako larwa, a kończy w krowiej wątrobie, gdzie draży korytarze niczym dżdżownica. Ale najciekawsza jest w swym bycie przejściowym, gdy opętuje mrówkę.

— Opętuje mrówkę — przytaknął ochoczo Zorzynek z Rzeżuchowa, przyjmując starą studencką strategię powtarzania wszystkiego jak echo w nadziei, że egzaminator sam odpowie sobie na wszystkie pytania.

— U mrówki przyjmuje dikrocelia formę najdziwniejszą, staje się bowiem jej myślą. — Sofja wypuściła z fajki kilka kolejnych kótek.

— ... jej myślą...

— Opętana mrówka opuszcza rodzinne mrowisko, porzuca wszystko, co było jej drogie i co nadawało sens jej mrówczemu istnieniu, i udaje się w miejsce odludne, gdzie wdrapuje się na źdźbło trawy.

— ... na źdźbło trawy...

— Tam dikrocelia zmusza ją, by kołysała źdźbłem tam i nazad, czym zwraca na siebie uwagę krowy lub innego zwierzęcia przeżuującego. Które to zwierzęta, mimo swej pożyteczności, nie mają nadmiernie rozwiniętego rozumu i widząc poruszającą się trawkę, wolą zeżreć ją niż trawki, które się nie poruszają. Tak to dikrocelia trafia do ciała krowy lub innego zwierzęcia przeżuującego, uwolniona z postaci mrówki, która nieszczęsna, w bydlęcych trzewiach kończy swą żalną egzystencję.

— ... w bydlęcych trzewiach kończy swą żalną egzystencję.

— Niechże pan tak za mną nie powtarza! Nic pan nie umie!

— Nic nie umiem — powtórzył Zorzynek z Rzeżuchowa.

— A inne przykłady zachowań samobójczych wśród zwierząt niższych potrafi pan podać?

Żak zmarszczył czoło, zgarbił się i poczerwieniał, jakby intelektualny wysiłek spoczął mu na ramionach ogromnym ciężarem.

— Ćmy wlatują w płomień świecy — wystękał wreszcie.

— No brawo, panie Zorzyнку. A doświadczenie Jana Henryka Fabre’a dotyczące ćmy pawicy gruszówki może pan omówić?

— Yyy... Tego, wielki uczony Jan Henryk Fabre...

— Konkrety!

— No, czułki im obcinał.

— To jednak coś pan wie — zdziwiła się Sofja. — A szerej umie pan coś o tym doświadczeniu opowiedzieć?

— Fabre łapał samice pawicy, zamykał je w klatkach i wieczorami przylatywały samce, nawet z bardzo odległych stron, a jak obciął tym samicom czułki, to samce nie przylatywały — wypalił szybko żak, zauważywszy, że w przeciwieństwie do naukowej kadry Sofja nie szła na lep potoczystej wymowy nie na temat, tak uwielbianej przez innych prowadzących, nie wyłączając starego doktora Kluka. Wydawało mu się to bardzo nieprofesjonalnym zachowaniem, lecz rzeczą studenta jest milczeć, gdy mu się coś nie podoba; Zorzynek tedy milczał.

— Bardzo dobrze. A czemu tak się działo?

— Nie jest to do końca zbadane. Niektórzy uczeni twierdzą, że czułki służą osobnikom żeńskim do emanowania specjalnych monad płciowych, których nie możemy zaobserwować przy obecnym stanie wiedzy. Inni uważają, że w grę wchodzi tu magnetyzm spotykany u wyższych zwierząt.

— A teoria woni?

— Ale to nieprawdopodobne i bez sensu. Motyl nie ma nosa, żeby czuć zapach. Nie da się niczego wyczuć z odległości kilku mil, a z takiej przylatywały samce w doświadczeniu Fabre'a. I pies nie dlatego odnajduje, za przeproszeniem, sukę, że ją wyczuwa nosem, choć węch ma dobry, lecz dlatego, że działają siły magnetyczne i przeznaczenie.

— Co się działo potem z tymi samcami, pamięta pan?

— Potem?

— Kiedy już odnalazły samicę.

— No... to znaczy ten... — Zorzynek z Rzeżuchowa spaśował i nie wiedział, gdzie podziać wzrok. Wydawało mu się, że wie, dokąd prowadzi ta rozmowa. Słyszał o takich sytuacjach. Nie żeby szczególnie mu to przeszkadzało, bo Sofja nie była brzydka, więcej, była wcale ładna, choć młodzianka. Ale to córka doktora, a takie rzeczy rzadko kończą się dla studenta dobrze. — No, takie rzeczy, które samczykowie motylkowie robią z samiczkami motylkowymi.

Sofja parsknęła śmiechem i pociągnęła mocno z fajki.

— Dobrze. A tak naprawdę?

Zorzynek milczał, z każdą chwilą purpurowiejąc coraz bardziej, aż zdawało się, że krew buchnie mu uszami. Zrozumiał, że palnął okrutną bzdurę. Sofja zaś, widząc, że nie doczeka się odpowiedzi, odpowiedziała sama:

— Samce wlatywały do pomieszczenia, gdzie przetrzymywano samicę, lecz zamiast skierować się do jej klatki, leciały w kierunku naftowej lampy i ginęły w jej płomieniu. Może pan to jakoś zinterpretować?

Żak milczał przez chwilę, udając, że myśli, po czym pokręcił głową na znak, że nie.

— Niech pan próbuje. Proszę pomyśleć.

Oczy Zorzynka zrobiły się okrągłe jak oczka na skrzydłach rusałki pawika. Nie, takich rzeczy od niego dotąd na uczelni nie wymagano. Student powinien potrafić kombinować, przypochlebiać się profesorom i powtarzać na egzaminie to, co oni powiedzieli na wykładach. Ale myśleć? Ale interpretować? Tego w programie nie było.

— Wielki luminarz naszych czasów, Robert Pucek, w swoim *Senniku ciem i motyli* wysuwa koncepcję o zastąpieniu głodu miłosnego głodem światła. O swoistym *consolamentum*, o endurze, o umiłowaniu światłości prowadzącym do ucieczki z tego życia, jak to bywało w gnozie Wieków Średnich — dziewczyna popukała palcem w leżącą na blacie książeczkę. Nosiła ona ślady wielokrotnego czytania, jej kartki ledwie trzymały się razem, a na białej okładce znać było tłuste ślady dłoni, czekolady i tytoniu. Sofja uwielbiała *Sennik*, podobnie jak wcześniejszą książkę tego autora o pająkach, choć jej ojciec zarzucał Puckowi brak ogłady przyrodniczej, antyewolucjonizm oraz nadmierną egzaltację. — Powinien pan przeczytać tę książkę.

— Na pewno.

— Akurat. Daj pan ten indeks. Nic pan nie umie. Co pan w ogóle robi na tych studiach? — zadała jedno z ulubionych pytań swego ojca.

— Usiłuję skończyć trzeci rok. Po trzech latach historii naturalnej można przenieść się bez egzaminów na weterynarię, a po roku weterynarii na medycynę, żeby po studiach mieć dużo pieniędzy — odparł Zorzynek, widząc, że najlepszą drogą postępowania z Sofją jest szczerłość.

— Tak jest prościej, bo omija się egzaminy wstępne.

Sofja machnęła ręką.

— Będzie trzy na szynach. Proszę sobie iść i nie zawracać mi głowy.

Podpisała się jak uprzednio – „Kluk”, z wielkim zakrętasem, najpierw w księdze semestralnej, a potem w indeksie. Posypywała właśnie atrament piaskiem, gdy z wielkiej szafy w sypialni z rumorem wypadł Harun. Za nim posypały się lawiną książki. Głównie powieści, a więc literatura niższego rzędu i mniej godna stawiania na półkach.

— Bóg jest jeden. — Harun stęknął i pomasował się po potylicy. Powieści były bowiem przeważnie grube i bolało, gdy spadały na głowę.

Zorzynek z Rzeżuchowa, tuląc do piersi indeks, przyjrzał się z zaciekawieniem Harunowi, potem Sofji, a następnie jeszcze raz Harunowi.

— No, kolego, wiele rozumiem, ale jesteś jednak zdecydowanie za młody na wypadanie z szafy — rzekł wreszcie, skłonił się Sofji i nie czekając niczyjej riposty, pospiesznie wyszedł z gabinetu.

— Yyy? O co mu chodziło? — Joma zrzucił z siebie opasy egzemplarz *Chochotów Szostaka* i otrzepał się z kurzu. Sofja, która czytała więcej powieści, spaşowiała tylko i machnęła ze złością ręką.

— Powinieneś już iść. Zmierzcha. Żebyś zdążył przed porą raków.

— Raki wolą dziewczyny.

— Ale odmienić mogą każdego.

— E. Chyba gojów. Jomów nie ruszają. Pan nas strzeże. Nie masz przypadkiem chałwy?

Sofja pokręciła głową i zabrała się do wpychania książek z powrotem do szafy. Powieści czy nie, nie powinny walać się byle jak. Książki muszą zachowywać chociaż pozory porządku.

— Eee. Szkoda. No, to do jutra.